Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 17. Lipca 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 29.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

OPERACJA FINANSOWA NA ŻYDACH.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ PRZESZŁOŚCI

skreślił

M. STARCZAK.

(Ciąg dalszy.)

— Hej, smotrytel! (ekspedytor pocztowy) — zawołał.

Ktoś wyjrzał oknem — po chwili smotrytel stał już przed powozem bez czapki.

— Ja sprawnik z Dzisny. Jak prędko konie mogą być do Głębokiego?

— Nie rychlej jak za dobrą godzinę.

— Co!!

— Nie mogą być prędzej. Mam w domu tylko jedną parę... i ta przed półgodziną z Głębokiego wróciła. Droga szkaradna — zmęczone.

— Ale mnie pilno!

— Wierzę p. naczelnikowi. I temu, co brał te konie, także musiało być pilno, to też zmęczył, bo leciał do Głębokiego jak opętany.

Sprawnik spojrzał na mnie znacząco.

— I kto to jechał?... kto?

— Nie wiem p. naczelniku, jak się nazywa. Żyd jakiś z Łużek.

— Żyd!... z Łużek! Jak pan śmiesz żydom dawać konie? Miał podorożnę (karta drogowa)?

— Tego nie miał... ale przywiózł mi kartkę od poczthaltera. Musiałem dać.

Poczthalterem, utrzymującym konie na dwóch stacjach: w Ulinie i w Zaborzu był propinator z Łużek.

Sprawnik począł się miotać w powozie i beształ smotrytela wyrazami, jakich słownik rosyjski może w takich wypadkach dostarczyć.

— Ja was... ja was oddam pod sąd, pójdziecie precz z miejsca! Konie raz postawione na stacji, są już *kazionne* i przestają na czas kontraktu należeć do poczthaltera. Jak wy rozumiecie prawa pocztowe! To nadużycie! to samowola!

Zawsze ta sama słomka w oku bliźniego... w swojem się belki nie widzi!

— Stało się — powiedziałem — co to pomoże teraz. Wreszcie... może to był w innym interesie posłaniec.

W duchu byłem uradowany i pewny, że posłaniec ten najniezawodniej wiózł ostrzeżenie żydom głębockim.

Nie staliśmy w Zaborzu dłużej nad pół godziny, ale na czwartej wiorście ciemnieć już poczynało. Mieliśmy jeszcze wiorst siedm. Jakby na domiar utrapień sprawnika, księżyc tego wieczora nie świecił, chmury horyzont zakryły i na niebie ani jednej gwiazdeczki. Furman co krok to wolniej jechał, a było ciemniej i ciemniej.

Rozpacz!

Stanęliśmy w Głębokiem koło dziewiątej. Lokal dla sprawnika jeden tylko najprzyzwoitszy mógł być w karczmie murowanej, naprzeciw karmelickiego kościoła — tuśmy się zatrzymali. Pokój nam dano obszerny, są meble, kanapa, dwa łóżka... lecz bez pościeli, nawet bez materaców, jak zwykle w prowincjonalnych zajazdach na Litwie. Po puchach dworskich nie wesołe na nocleg widoki.

Karczmarz się kłaniał, sprawnik milczał i wyraźnie był zajęty układaniem nowego planu, pod wpływem wiadomości, jakąśmy powzięli od smotrytela w Zaborzu. Posługacz żydowski przyniósł dwie świece, oprawione w srebrne lichtarze.

— Ty! — krzyknął na niego p. Brańcow.— *Stupaj* (ruszaj) zaraz do assesora i *skaży* (powiedz), że sprawnik przyjechał i prosi natychmiast do siebie... pilny interes.

— Nu, ja wiem! powiem, że go p. sprawnik — stał tymczasem i rozglądał się po izbie.

Sprawnik kopnął go nogą i chwycił za pejsy.

— Ja ci powiedziałem *stupaj!*... tak i *stupaj!* Rozumiesz?... Sprawnik ci każe.

Karczmarz po żydowsku coś zaszwargotał... chłopak skoczył z miejsca jak oparzony, a za nim wyszedł gospodarz.

Wyjrzałem do wjazdu: kupa żydów oblegała nasz powóz, każdy był ciekawy, a wszyscy rozpytywali się furmana zkąd, kogo przywiózł... i jeden za drugim wynosili się z wjazdu, ustępując miejsca nowej nawale ciekawych.

Prawdopodobnie byli już uprzedzeni— ja w duchu tryumfowałem. Sprawnik także widział to zbiegowisko żydów.

— Widitie... wsio propało. On im dał znać.

Ruble obliczone, pewne... ulatywały widocznie.

Wszedł asesor, wystrojony w galowy mundur ułański, białe rabaty, takież lampasy u rajtuzów i kaszkiet — rozpuszczona szabla zabrzęczała od progа. Zbliżył się do sprawnika i podniósł dwa palce do czoła.

— Zdiesznij stanowoj — rotmistrz Jackowski *) W mieście i okręgu wsio *błahopołuczno.*

Cóż ztąd, pomyślałem — kiedy wcale nie *błahopołuczno* w głowie sprawnika. Miały być pieniądze i oto... nie ma.

— U was tu w miasteczku — zapytał sprawnik są żołnierze odstawni albo urlopowani?

— Da.

— Ilu wszystkich zebrać możecie?... mnie są natychmiast potrzebni.

---

*) P. Jackowski był dymisjonowanym rotmistrzem z tak zwanego «tatarskiego» ułańskiego pułku — mundur taki sam, jak miał nasz II pułk ułanów za Konstantego.

— Zebrać tak zaraz można z dziesięciu.

— Posłać po nich zaraz i jednocześnie mieszczan przywołać czternastu, ale chrześcjan i młodych. A przy waszej kancelarji służba stójkowa liczna?

— Mam czterech — aresztantów pilnują.

— Proszę się sprawić natychmiast... za godzinę najwyżej żeby było dziesięciu żołnierzy i mieszczan czternastu.

— Słuszajus... budut.

Szabla zabrzękła — asesor poszedł wykonać zlecenie.

— Jak się panu zdaje — zapytał sprawnik — czy mogą być za godzinę ci ludzie?... Ten Jackowski, mówią, że sprawny, służbista, ale już stary... czasby mu o dymisji pomyśleć.

— Stary, ale u niego wszystko idzie z kopyta, a miasto boi się go jak ognia. Ludzie z pewnością będą.

Kazałem poprosić gospodarza i z nim o pościeli naradzać się począłem. Przyrzekł. Będzie to pościel żydowska, prawda, ale i Jackowski pomoże, przynajmniej prześcieradła i kołdry przyśle.

Przyniesiono samowar, szklanki — o herbacie wypadało pomyśleć.

Wszedł z powrotem Jackowski i zapewnił, że żołnierze i mieszczanie natychmiast będą. Widząc samowar na stole i żydówkę krzątającą się przy łóżkach, prosił sprawnika o przyjęcie u niego noclegu, lecz sprawa z żydowskiemi książkami była tego rodzaju, że do jej załatwienia mógł nam przysługiwać tylko lokal oddzielny i najzupełniej *swobodny*. Przy czynnościach tego rodzaju świadkowie nie są potrzebni. Sprawnik p. Jackowskiemu co do noclego u niego stanowczo odmówił, zgodził się tylko przyjąć jutro obiadek.

— Więc pościel przynajmniej weźcie ode mnie, bo jakże spać w tych betach żydowskich!

— Zgoda, p. rotmistrzu — zgoda! — uprzedzając sprawnika odpowiedziałem. — Przyznam się nawet, że na pana, — co do pościeli, liczyłem — zwyczajnie starzy znajomi. Ale... nic darmo: zechciejcie z nami wypić herbatę.

— Ja po herbacie.

— Nie zaszkodzi jedna i druga szklaneczka... dla towarzystwa.

Sprawnik prosił siadać p. rotmistrza i począł z nim rozmowę o mieście i assesorskim obwodzie, pragnąc wiedzieć o zamożności, handlu, rolnictwie, słowem o wszystkiem. Udawał, że odpowiedziami rotmistrza jest mocno zainteresowany, ale co sam mówił, to się nie kleiło wcale i widocznie myśl jego około bóżnic żydowskich błądziła, układając na noc dzisiejszą i dzień jutrzejszy plany, żeby choć coś przecie zarwać upragnionego grosza. Nie wiem jak on przy tem pierwszem spotkaniu wyglądał w oczach rotmistrza, co do mnie, widziałem w nim bankruta bez wyjścia.

Przyniesiono od Jackowskiego pościel — żołnierze i mieszczanie zbierać się zaczęli we wjeździe.

— Ilu ich tam? — zapytał sprawnik.

— Jest już na rozkazy z dziesięciu.

— Mało.

Wyjął zegarek, przypatrywał się, przyłożył do ucha.

— Co znowu!... Według zegarka my tu jesteśmy dopiero godzinę tylko?

— Tak, furman ledwie konie wyprzągł i obrok zasypał — najwyżej godzina.

Sprawnik tracił cierpliwość.

Wypiliśmy herbatę, pościel była gotowa. Jackowski wyszedł do wjazdu, obliczył ludzi. Wrócił z raportem, że się zebrali wszyscy.

— Proszę tu ich zawołać.

Weszli.

— Ile w miasteczku — zapytał sprawnik — jest bóżnic żydowskich i ile domów modlitwy?

— Bożnic dwie, domów modlitwy sześć — odpowiedział assesor.

— Słuszajtie! — przemówił do zgromadzonych. Dwóch mieszczan i jeden żołnierz do każdej bożnicy i do każdego domu modlitwy. Nie spać, pilnować, nikogo nie wpuszczać, a gdybyście kogo zastali, to nie wypuścić dotąd, aż ja tam przyjdę. Zmienią was jutro rano, więc powiecie to samo tym, którzy będą przysłani na zmianę. Który z was żołnierzy wie, ale dokładnie, z pewnością, gdzie są domy modlitwy, bo o bożnicach wszyscy zapewne wiedzą?

— Ja wiem — i wyszedł naprzód mężczyzna lat około czterdziestu, urlopnik w szarym szynelu.

— Ty rozprowadzisz wszystkich. Pamiętaj, trzech do każdego miejsca — dwóch mieszczan i trzeci żołnierz. Powtórz mnie, jaki oddałem rozkaz, bo ty musisz w każdem miejscu ludziom postawionym przez ciebie to samo powiedzieć.

— Do każdej bożnicy postawię trzech i powiem im: do bożnic wpuszczać, a z *molelni* (dom modlitwy) nie wypuszczać nikogo.

— Durak! nie tak. P. rotmistrzu, którego z nich pan uznajesz za więcej rozgarniętego?

Jackowski rozejrzał się w gromadzie.

— Siemion — ty będziesz starszym do rozprowadzenia i powtórzenia wszystkim rozkazu p. sprawnika.

— Słyszałeś rozkaz? — zapytał sprawnik.

— Słyszałem.

— Powtórz!

Siemion słowo w słowo powtórzył, ale się zahaczył na tem, co zrobić w tym wypadku z żydem, jeżeli którego w bożnicy albo w *molelni* zastaną.

— Da szto tut i spraszywat — odezwał się ktoś z tłumu — związać parcha i niechaj leży.

— Niet — zrobił ostrzeżenie sprawnik — wiązać nie trzeba, a tylko nie wypuszczać i nic nie pozwolić wynosić. No, teraz z Bogiem, a ty Siemion rozprowadź wszystkich.

Wyszła bożniczna straż. Sprawnik polecił assesorowi, żeby dziś jeszcze wyznaczył straż dzienną i żeby jutro ze świtem stróże nocni byli zmienieni.

Assesor wyprostował się i podniósł dwa palce do czoła.

— Ośmielam się zapytać, czy to ma być w bożnicach i molelniach żydowskich rewizja jaka?

— Da! rewizja. Wszak pan także masz zapewne drukowany ukaz rządu gubernialnego co do ksiąg żydowskich, nie poświadczonych pieczęcią cenzury. Innych żydom nie wolno mieć w użyciu, ani w bożnicy, ani w domu nawet.

— Mam... ale ja do tego nie przywiązywałem tak wielkiej wagi.

— To źle, to bardzo źle! Ukaz, to prawo, a jakże prawo będzie wyglądać, jeżeli najbliższa, miejscowa władza nie pomyśli o wykonaniu?

— Czy ja jutro przy rewizji także będę potrzebny.

— Zależy to od pana. Ale niezawodnie pan masz inne zajęcia, więc nie potrzeba... ja sam temu dam radę. Ludzie rozstawieni wystarczą mi do pomocy, a tylko nową straż od południa proszę nakazać, bo może się to dłużej przewlecze. Teraz możesz pan iść, późno... nie chcę utrudzać pana.

— Obiadek jednak pan zechcesz przyjąć u mnie?

— Owszem, dziękuję za pamięć, a tylko proszę sobie nie robić różnicy, bo czynność może więcej mi zająć czasu, niż sobie przypuszczam. Dobrej nocy życzę.

Zostaliśmy sami: ja z myślą o spoczynku, bo droga mię umęczyła i do snu kleiły się oczy, — sprawnik z troską o rezultat jutrzejszego połowu. Sto lub dwieście rubli mniej — o to mniejsza, ale cała rachuba może nie dać jednego grosza, jeżeli propinator z Łużek przysłał ostrzeżenie tutejszym żydom.

(Dokończenie nastąpi).

CYGANIE.

SZKIC ETNOGRAFICZNY

podług Grube'go.

O pochodzeniu Cyganów istnieją najróżnorodniejsze mniemania.

Jedni badacze twierdzą, że pochodzą oni z Mezopotamii, drudzy, że z Assyrji i Persji, inni uważają ich za Egipcjan, Nubijczyków, potomków arabskich Beduinów i Murzynów.

Jest nawet nieco śmiałe przypuszczenie, że ten włóczący się ludek pochodzi od starych Czechów, którzy przed Słowian przybyciem ten kraj zamieszkiwali, ztąd też francuska nazwa *Bohemiens*.

W Węgrzech, w Mołdawji i Wołoszczyznie, nazywają ich *Zygani*, w Rosji *Tchingani*, we Włoszech *Zingari*, w Hiszpanii *Gitanos*, w Anglji zaś *Gypsies* (Egipcjanie).

Podług podania, mają być Cyganie potomkami starych Egipcjan, którzy małego Zbawiciela, chroniącego się przed Herodem w Egipcie, pod swoją strzechę przyjąć nie chcieli i za to skazał ich Bóg na wieczyste życie tułacze.

Własnemu ich podaniu o pochodzeniu, wierzyć nie można. Najprawdopodobniej pochodzą oni z okolic południowych stoków gór Himalajskich, w dorzeczu Indu leżących, wyparci z pierwotnych siedlisk swoich przez Timursa, około

r. 1398 i sami też nazywają się *Sinte* (Sind, Indus.)

Udowodniły językowe badania, że mowa cygańska należy do Sanskrytu.

Nawet ich budowa ciała, przypomina Indów.

Są wzrostu średniego, smukli, barwę skóry mają ciemno-żółtą w oliwkowo wpadającą, włos kruczy, zęby białe, oczy ciemne, wzrok przenikliwy.

Młode Cyganki mają cerę twarzy nieco bielszą, rozwijają się szybko, ale wdzięki ich więdną niestety rychło i robią się z nich stare, brzydkie baby.

Cyganie zjawili się w Europie w XV. stuleciu i rozeszli się rychło po wszystkich krajach europejskich. W Europie widziano ich w r. 1417ym. W oddziałach po kilkaset głów liczących, dotarli aż do morza Niemieckiego i pod wodzą Michała, zjawili się na soborze Kostnickim. Ztąd w 200 ludzi przeszli przez Alpy do Sabaudji, a następnie do Rzymu.

W r. 1418ym widziano ich równocześnie w Hessji i w Zurychu, w r. 1422 w Bernie i w Bononii, a w r. 1427. dnia 7. sierpnia, wszedł hrabia cygański do Paryża, ze swoim orszakiem, liczącym ośmdziesiąt kobiet i dzieci.

Węgierski król Zygmunt pozwolił im osiedlić się w swym kraju, rozporządzeniem z d. 18. kwietnia 1422 roku, inni jednak panujący spostrzegli, że ten brudny i zasmarowany ludek, był nader zręcznym w kradzieży i oszukaństwie, nie wielką okazywał do pracy ochotę, ale za to większą do próżniactwa i włóczęgostwa i dla tego jedynie zmieniał rychło miejsce swego pobytu, ażeby łatwiej wyzyskiwać łatwowierność mieszkańców nowo zamieszkanej okolicy. Umieli oni doskonale wróżyć z dłoni, przepowiadać przyszłość i mówić to, co każdy słuchał chętnie, a należy im przyznać, że okazali się w tej mierze mistrzami. Ztąd też koronowane głowy rugowały ich z swoich posiadłości, uważając za wyjętych z pod prawa.

Mimo to, nie wytępiono ich zupełnie; wypędzeni z jednej okolicy, pojawiali się w gronie swych braci w innem miejscu, kradnąc, żebrząc i oszukując ustawicznie.

Marja Teresa i jej syn następca Józef II zamierzali zrobić Cyganów użytecznymi dla państwa, próbując ich zmusić do zajęcia stałych siedzib. Marja Teresa rozporządzała (1768), aby każdy Cygan obrał sobie pewną miejscowość za stałe siedlisko, jeżeli chce, aby go w kraju cierpiano.

Józef II złagodził wprawdzie to rozporządzenie, ale nakazał, aby każde cygańskie dziecko chodziło do szkoły, w razie przeciwnym miano je przymusowo zabierać do nauki.

Cyganki opierały się temu, rzucały się jak szalone, kiedy im ich małych brudasów zabierano, rozdzierały swe suknie, a malców do szkoły prowadzono na powrozie.

Takie próby jednak, jak się później okazało, były bezowocne i przymusowa cywilizacja tego koczowniczego ludku nie zdała się na nic.

Wkrótce jednak siedmiogrodzkie doliny i pusty węgierskie, mające tyle uroku dla życia koczowniczego, zaludniły się, i daleko więcej Cyganów osiadło w Węgrzech i Siedmiogrodzie, niż w innych europejskich krajach.

Podług obliczenia w r. 1851 było w Siedmiogrodzie 75.000 Cyganów i o wiele większą była liczba osiadłych niż koczujących, w Siedmiogrodzkich zaś wioskach i miasteczkach, miało już wielu z nich swe własne zagrody.

Najulubieńszem rzemiosłem Cygana jest kowalstwo, kotlarstwo, robienie kos, koszykarstwo i wypalanie cegieł. Najwięcej między nimi jest kowalów, a kowale w Jakobsdorfie są najlepsi i słyną z wyrobu kos w całym kraju.

Każdy Cygan-kowal, jest sprytny w swej robocie, i ma nader wielką zdolność do robót kowalskich wszelkiego rodzaju.

W większych miastach siedmiogrodzkich jak: Hermanstadt, Klausenburg i Kronstad, zamieszkują Cyganie odrębne dzielnice *cyganiami* zwane, Cyganki zaś wynajmują się jako praczki, bielą domy itd. — zarabiając w ten sposób na życie.

Cyganie i Cyganki lubią się stroić; naszyjniki, kolczyki, galony i sznureczki, muszą być koniecznie błyszczące, a sukienki i staniki noszą o nader jaskrawych barwach. W dni świąteczne, obuwają na nogi kończaste trzewiki o nosach czerwonych, na pierś spadają czerwone wstążki z pieniądzmi, a w kruczych warkoczach, połyskują złote szpilki, wysadzane perłami.

Cygan jest rzadko rolnikiem na swoim własnym zagonie, najwięcej wynajmuje się za zarobnika u saskich gospodarzy. Cyganie i Cyganki są najdzielniejszymi żniwiarzami i rzadko kto tak żąć umie jak oni.

U właścicieli większych posiadłości, zamawiają sobie kawał pola, uprawiają na nim kukurydzę i odbywają za to obżynki w czasie żniwa.

Handel końmi, to najulubieńsze zajęcie Cygana. Ochodzi się sam z koniem nielitościwie i zna najróżnorodniejsze tajemnicze środki, aby koń dobrze wyglądał i mógł się podobać kupującemu.

Konie kradną po mistrzowsku, a rozległe węgierskie pastwiska, na których się wypasają ogromne stada tabunów, największą ku temu nastręczają sposobność. Zresztą nie kradną więcej naraz jak jednego konia, używając gwałtu, jak w ogóle wszyscy węgierscy rozbójnicy.

Nie wyszukują również najpiękniejszych koni, wiedząc o tem, że zwykły chłopski koń w ich posiadaniu, nie zwraca na się uwagi.

Zejdźmy teraz z wyżyny cywilizacji cygańskiej i przypatrzmy się bliżej ich życiu. Oto widzimy ludek włóczący się po wsiach, żebrzący bezczelnie, pokorny, przebiegły i schlebiający gdy prosi o jałmużnę, a kradnący wszystko, co tylko zobaczy i co się da.

Gdy młodsze pokolenie wybrało się za zarobkiem, rozkładają starsi namiot (jeżeli oczywiście jaki mają) na brzegu lasu, albo pod jakim samotnie stojącym dębem, albo rozkładają się pod bożym namiotem, zasłaniają się od burzy i wiatru gałęziami drzew, zbierają chrust na opał, wyciągają kocioł i nalewają wodą. Chodzi teraz o to, aby coś było w kotle.

Często nie wracają wysłańcy z tem, co się ma ugotować, ale są tem weselsi, jeżeli jaką dobrą przyniosą do domu zdobycz. Zresztą, cygan oswoił się już z głodem; śmiało patrzy mu w oczy, zadowala się tem, na co by cywilizowany Europejczyk nawet nie spojrzał; zjada z apetytem padlinę, szczury i myszy. Z głodem da sobie jakoś łatwiej radę, niż z ostrą zimą, przed którą trudno mu się schronić. Swoimi łachmanami okrywa nagie dzieci i sam cierpi wówczas nader dotkliwe zimno.

»*Dziesięć zim nie warte tyle razem, ile jedno lato*« mówi cygańskie, humorystyczne przysłowie. Siedmiogrodzka zima, zapędza ten koczowniczy ludek, żyjący bez jutra, w ziemię; zakopują się oni naówczas jak lisy lub borsuki w jaskiniach, zostawiając otwór instynktowo zawsze ze strony południowej, a wielki wał usypany z ziemi, ochrania ich przed boreaszem.

Wały takie usypują w dolinie Szamosu zwykle od wschodu, w dolinie Maroszu zaś od zachodu, albo południowego zachodu.

Takie przyzwyczajenie do życia wolnego i niezależnego, hartuje tak owe dzieci natury, że już w pierwszych dniach wiosennych igrają małe, nagie cygańskie dzieci przed jaskinią, w promieniach wiosennego słoneczka.

W niektórych miastach i wioskach siedmiogrodzkich, na stokach gór ku południowi wysuniętych, można widzieć wiele mieszkań cygańskich w ziemi urządzonych, nader nędznych, podobnych raczej do zwierzęcej jaskini, niż do ludzkiego pomieszkania. A jednak mieszkają tam Cyganie, wlokąc swój żywot bez jutra.

Ze zwierząt domowych, hoduje Cygan najwięcej świń. Są to jego ulubione zwierzątka, które pielęgnuje jak swoją żonę i dzieci, żyjąc z niemi pod jednym dachem.

Osiedli Cyganie są wyznawcami obrządku wschodniego, koczujący zaś, troszczą się nader mało o kościół, a nawet trudno u nich dojrzeć jakiegokolwiek śladu religji przyrodzonej.

Najwięcej jednak uczęszczają do kościołów katolickich, w których wspaniałe ceremonje najbardziej bawią ich oko. Dają się chętnie chrzcić nawet po kilka razy, głównie dla sutego krzyżma.

Obdarzony rzadką przebiegłością, umie się Cygan zastosować do narodowości, wśród której żyje.

Madjar jest dumny, gościnny, i mimo waleczności i wojowniczego usposobienia, ma jeszcze żyłkę do życia koczowniczego. Taki pokorny ludek jak Cyganie, którzy różnorodne wyrabiają narzędzia, a przy tem wszystkiem są muzykalni i najróżnorodniejsze arje narodowe wygrywają, taki ludek jest dla Madjara pożądany.

Czykos (pasterz koński) i chłop węgierski, na „szybkim przebywający koniu“ obszerne stepy i uważający udałą kradzież konia za czyn bohaterski, jest także Cygana odcieniem.

Węgierskie pusty w znacznem leżą oddaleniu od wsi i miasteczek, a w czardaszach (karczmach polnych) przechowują się bezpiecznie końscy złodzieje, Cyganie i rabusie, mimo czujnej policji i żandarmerji. Im samotniej mieszka jaki Madjar, tem pożądańszy jest dlań Cygan, który mu nie jedną w samotności uprzyjemni chwilę, gdyż cygańscy muzykanci, są żywymi przechowywaczami węgierskiej muzyki narodowej.

Jako kowal i konował, nie ma Cygan u Madjara najmniejszego miru, gdyż to wszystko umie, a może nawet lepiej, pierwszy lepszy czykos, ale jako muzyk, jest Cygan niezrównany i ma wielkie u Madjara poważanie. Grając w karczmie, lub na chłopskiem weselu, czy to u magnata, czy to u pasterza, może się raczyć perlistem winem i zajadać do syta słoninę, a gdy między biesiadującymi rozpocznie się bójka, natenczas jego muzykalna osoba, nie bywa narażoną na pięście i szturchańce. Instrumentem muzykalnym u Cygana, są przedewszystkiem skrzypce, następnie basetla, wiolonczela, klary-

*

net, pikolina i ulubione cymbały, składające się z pudła odbrzmiewającego, na którem są naciągnięte metalowe struny, wydające za uderzeniem palcatek, nader przyjemny dźwięk metaliczny.

Ani o teorji muzyki, ani o nutach, nie ma Cygan najmniejszego pojęcia, ale ma takt, bystry słuch muzykalny, że Madjar potrzebuje mu tylko kilka razy jakąś przespiewać aryjkę, a on ją natychmiast wygra ze słuchu na skrzypcach. Niektóre arje, grywali dłuższy czas cygańscy muzykanci, nim je w nuty ujęto.

Sławny marsz Rakoczego, ów marsz, który na każdym Węgrzynie taki elektryczny wpływ wywiera, dopiero w naszem stuleciu w nuty ujęto i o wiele później słyszano go w Peszcie i w Wiedniu, a następnie w całym muzykalnym świecie, aniżeli w węgierskich karczmach.

Z najnowszych tańców najulubieńszym jest dla Węgra czardasz, który pasterze hulają w czardaszach.

Takt i rytm wszystkich węgierskich tańców oddaje Cygan lepiej, niż najbieglejszy mistrz. Im więcej rozochocają się tancerze, tem dzikszą i namiętniejszą jest jego muzyka. Również polskie i niemieckie walce Cygan umie grać dobrze, nawet wtedy, kiedy jest daleko od świata, wśród swoich towarzyszy niedoli.

Życie tych ludzi, zasługuje rzeczywiście na politowanie, a upływa w niedostatku, pogardzie i ubóstwie.

Gdziekolwiek się Cyganie pokażą, są postrachem nie tylko dzieci, ale i starszych, którzy na nich patrzą z niedowierzaniem, zbywają półgębkiem i zamykają im drzwi przed nosem.

Życie takie byłoby ciężarem dla cywilizowanego Europejczyka, a jednak Cygan dźwiga brzemię swego żywota z rezygnacją i jeżeli czego, to dobrego humoru pozazdrościć mu można....

Fr. Ks. Mroczko.

Kronika naukowa

przez

B. ABAKANOWICZA.

(Dokończenie).

Wiosna roku bieżącego odznaczyła się wielką ilością pożarów, które w różnych stronach świata, straszne sprowadziły spustoszenia. Spaliło się parę teatrów, kilka wielkich magazynów, fabryk, nie licząc już większych pożarów domowych. Okoliczność ta zwróciła ponownie uwagę ogólną na środki zabezpieczające przeciw pożarom. A jest tu wiele jeszcze do zrobienia i dla wynalazców otwarte szerokie pole do pracy.

I tak naprzykład, nie posiadamy dotychczas dobrych automatycznych ostrzegaczy przed ogniem. Jest wiele przyrządów w tym celu zbudowanych, mniej lub więcej skomplikowanych, lecz po większej części niepraktycznych i niedostatecznych.

Wszystkie prawie polegają na tem, że gdy w danym pokoju, gdzie jest aparat, temperatura się podniesie wyżej nad stan normalny, dzwonki elektryczne zaczynają dzwonić, bo w przyrządzie automatycznie następuje ich połączenie z obwodem elektrycznym.

Niedawno temu Dupré zbudował nowy ostrzegacz, bardzo prosty, oparty właśnie na takiej zasadzie. Na tabliczce przymocowane są dwa pręty, połączone z obwodem elektrycznym. Są one trzymane w oddaleniu od siebie zapomocą kawałka wosku, stearyny lub innego ciała łatwo topniejącego przy podniesieniu temperatury. Jeden z prętów jest zaopatrzony w ciężar, tak, że gdy ciało, trzymające je w oddaleniu, stopnieje, pręty się stykają i prąd przebiega do dzwonków ostrzegających.

Pan Tissandier, w ostatnim numerze nowego czasopisma *Elektricien* opisuje próby, które robił z tym przyrządem i przychodzi do wniosków następujących: „Doświadczenia nasze nie potępiają stanowczo pomysłu p. Dupré, lecz dają dowód, że ostrzegacze mogą być zastosowane tylko w szczególnych wypadkach; trzeba by zwiększyć znacznie ilość przyrządów, na które tylko do pewnego stopnia rachować można.“

Nie są to słowa zupełnego uznania i istotnie, jeśli zestawimy wszystko, co dotychczas w tej mierze zrobiono, przyjdziemy do przekonania, że niema jeszcze dobrego rozwiązania.

Największe niebezpieczeństwo w czasie pożaru stanowią większe masy płynów lotnych i palnych, jak nafty, benzyny, etc., które łatwo sprowadzić mogą wybuchy i w razie zajęcia się ogniem, są prawie niemożliwe do ugaszenia. Z tego też powodu w miastach nie wolno przechowywać na składzie większych ilości takich płynów. Lecz to z drugiej strony ujemnie wpływa na handel i sprowadza dla kupców kłopoty, wynikające z ciągłej potrzeby zaopatrywania się w nowe zasoby. To też wynalazcy pracują, aby tę niedogodność usunąć i uczynić przechowywanie bezpiecznem. Niedawno temu p. Indycki, architekt z Moskwy, patentował swój rezewoar, który ma dawać zupełne bezpieczeństwo. Budowa jego bardzo prosta i praktyczna. Sam zbiornik główny, zrobiony z blachy żelaznej, znajduje się pod ziemią, na środku podwórza i komunikuje się tylko za pomocą cienkich rur ze sklepem, gdzie następuje drobna rozprzedaż. Pompa powietrzna, naciskająca, służy do pędzenia płynów do góry; na przypadek zaś pożaru urządzone są ekstynktory, działające automatycznie, które pożar gaszą w samym zarodku.

Inny wynalazca p. Notbeck, znalazł sposób uczynienia zwykłej nafty, używanej do oświetlenia, zupełnie bezpieczną do przewożenia. Posiada on sekret zamiany płynnej nafty na ciało wpółstałe, niewybuchające i które się łatwo przewozić daje. Skoro się próbom przyjrzymy bliżej, zdamy z nich sprawę.

Z HEINE'GO.

Gwałtowny ból mi serce gniecie,
Kiedy o dawnej marzę chwili.
Tak miło było tu na świecie!
Tak tu spokojnie ludzie żyli!

Dziś wszystko to jest mgłą rozwianą —
Ztąd nędza tak nas dręczy wściekle:
Na niebie Boga pogrzebano,
A równocześnie czart zmarł w piekle.

Ponury smutek wszędzie gości,
Skarlało serce, umysł chory,
I gdyby nie ta — krzta miłości,
Zabrakłoby nam wnet podpory.

St. Rossowski.

Kronika Tygodniowa.

Żaden z zapowiedzianych festynów w ubiegłym tygodniu nie przyszedł do skutku, deszcz i zimno odstraszyły amatorów tego rodzaju uciechy. Nawet owe sławne za Żółkiewską rogatką hodowane raki, nie mają w tym roku powodzenia, a kąpiele zimne stoją pustkami. Cóż więc robić na takie nudne czasy, a robić przecie coś trzeba, bo ruch to życie. Kwaszą się tedy poczciwi ludziska, i z nudów produkują nadmierną ilość żółci, którą z kolei rzeczy muszą w jaki bądź sposób zużytkować. Rozpoczynają się tedy panowania złych humorów a za nimi sprzeczki w najbliższych kołach domowych; lecz ponieważ tej żółci przybywa więcej niż jej na domową potrzebę zużytkować można, objawy złego humoru wylewają się na ulicę, a wreszcie i na publiczne forum, jakiem teraz jest prasa. Dla tego nie można wziąć żadnej gazety do ręki, żeby nie wyczytać ujadania na coś lub na kokoś. W Wiedniu i Pradze Prokuratorja już nie wie gdzie ma pomieścić konfiskowane numera. a u nas choć do tej ostateczności nie przychodzi, jesteśmy bowiem wzorem lojalności austrjackiej, to nie ma dnia, żeby ktoś albo obrażony, albo napastowany nie występował z reklamacją, prowadzącą za sobą nowe zatargi. Swarzą się literaci między sobą, korespondują publicznie mężowie stanu i mężowie miasta, gryzą się w Stanisławowie, szykanują w Przemyślu, w Warszawie a nawet w Poznaniu. Pokazuje się, że usposobienie do kłótni panuje w powietrzu. Ot naprzykład przyszła ochota krytykowi warszawskiemu, obecnie mianowanemu profesorem literatury polskiej przy tamecznym Uniwersytecie, napisać apologję dla swoich przyjaciół, pod tytułem: Historja literatury polskiej ostatnich lat szesnastu. Napisał, pani Orzeszkowa wydrukowała i powstał niezmierny rejwach w olimpie literackim. Już to ta rzesza literacka w całym świecie jest niezmiernie drażliwą i pasjami lubi kadzidła. Zwykłego śmiertelnika możnaby sto razy otruć zapachem pochlebstwa, a literat po każdem nakadzeniu czuje się daleko rzeźwiejszym i strawniejszym. Przeciwnie, najmniejsze draśnięcie w słabą jego stronę — pasuje“ go na lwa, tygrysa, lub zazdrosną kochankę. W przystępie oburzenia nie przebiera w broni — dla niego każda dobra, począwszy od szpilki a skończywszy na wielkiej armacie Kruppa. Wystawia więc cały arsenał na plac i walczy, walczy dopóki nie położy trupem przeciwnika... Książka tedy p. Chmielowskiego wywołała straszliwy bój między zganionymi, nieuznanymi, pominiętymi, lekko traktowanymi — słowem niepodkadzonymi, a autorem. Jużto trzeba przyznać, że krytyka warszawska począwszy od Osińskiego, Dmochowskiego, a skończywszy na Piotrze Chmielowskim, nie odznaczała się trafnością sądów i bezstronnością w zapatrywaniach. „Ja tak powiadam“ — mówi krytyka warszawska — i tak jest dobrze, — proszę mi wierzyć, że tak jest i basta! Tam u nich czem głośniej kto krzyczy, ten lepszy, a tymczasem ten pan krytyk, prócz owych nieodwołalnych wyroków o pracy i zdolnościach drugich — nieraz nic a nic nie zrobił... Gdzieindziej krytykują drugich ludzie pracujący w jakimbądź kierunku i pracujący z uznaniem; w Warszawie zaś odrazu rodzą się mężowie na krytyków z poczuciem w duszy samowładztwa, szczęściem jeszcze, że bez prawa

sukcesji. Otóż pan Chmielowski w swojej Historji literatury przez pół tomu opisał walkę Donkiszota z wiatrakami, walkę, która jak zapewnia na początku dzieła stanowiła przewrót w pojęciach literackich a skończyła się, jak sam przyznaje na niczem. Stronnictwo młodych (to jest stronnictwo „Przeg. tyg."), rozpoczęło walkę ze *starymi*, ustawiło się frontem, naostrzyło groty i miecze, i wydało hasło do ataku. — Podniósł się obłok kurzawy, kule zaczęły świszczeć, zbroje chrzęściały — kolumna z szalonem męztwem ruszyła na nieprzyjaciela — a tymczasem nieprzyjaciela nie było...

Otóż taką walkę opisuje autor, a „Kur. War." śmieje się i chłoszcze twórcę urojonej wojny.

U nas we Lwowie między „Dziennikiem Polskim" a członkiem Rady miejskiej, panem Jägermanem, nie idze znowu o żadne bohaterstwo, lecz o skromny budynek ustawiony przy Pełtwi od ulicy Karola Ludwika. Budynek ten, z kształtu podobny do bósej sieroty, okrytej żółtym łachmanem, z podkasaną nieco spodnicą, tak impertynencko odwraca się od przechodniów, że wzbudza publiczną ciekawość, kto też mógł być jego ojcem i autorem. Magistrat się wypiera, Sekcja się wypiera, i p. Jägerman nie chce się przyznać, a tymczasem corpus delicti stoi, a kasa miejska zapłaciła zań pięćset guldenów. Jaka to szkoda, że nie mamy we Lwowie domu podrzutków, odesłalibyśmy sierotę do niego i rzeczby się skończyła.

O społeczeństwie naszem wogóle można powiedzieć, że zawsze chce być przemądrzałem, czego najlepszy dowód stanowi aż do finezji posunięta ostrożność przy jakiem bądź przedsiębiorstwie. — Przyjdzie naprzykład stawiać jakiś budynek, lub pomnik, to nie ogłasza się jak zwykle konkursu, lecz kilka konkursów — przedwstępny, ogólny, szczegółowy, potem się odrzuca wszystkie, lub w połowie nagradza, i dopiero miejscowe siły inteligencji, z tego materjału zlepiają całość, pożyczywszy ztąd trochę, ztąd trochę w przekonaniu, że z tych wszystkich kwiatów talentu wyssano miód najlepszy. Tymczasem z takiej mozajki robi się monstrum bez charakteru. — W tem sposób układano plany na budowę szpitala Kulparkowskiego, gmachu sejmowego, Sukiennic krakowskich — a obecnie ma się coś podobnego powtórzyć z pomnikiem dla Mickiewicza. — Powiedziano w uchwale komitetu, że tylko polscy artyści mają wziąć udział w konkursie, a mimo to ogłoszono konkurs powszechny na rysunek przyszłego pomnika, rodzaj konkursu na próbę. Komitet widocznie chciałby wyzyskać pomysły obcych, jakby nie dowierzał talentowi swoich, a chciałby to zrobić za 1000 fionerów. Otóż, idzie nam o to, żeby się nie skończyło na składkowym projekcie po drugim prawdziwym konkursie, na czemby tylko całość szkodę poniosła, bo dzieła talentu nie znoszą kompilacji.

* * *

(Z) Tegoroczna wystawa dzieł sztuki nosi cechę prawdziwej fatalności. Odroczona z początku dla wielkiego braku obrazów, doczekała się wreszcie chwili, w której ujrzała światło dzienne, a z niem wykrycia na jaw, stron wcale niekorzystnych. Zauważano już dawniej i to niejednokrotnie, że wystawy lwowskie co raz to gorzej się udają. Wprawdzie towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych wykazuje co roku znaczne korzyści, nie może to wszakże być dowodem, przemawiającym za rozwojem towarzystwa. Zapanowała jakaś ogólna apatja, letarg, z którego się trudno obudzić. Nic dziwnego, że wobec takich stosunków, każdy niemal szuka przyczyny złego i każdy prawie innej się dopatruje — a rezultat zawsze jeden i ten sam. Powszechnie żalą się na artystów, iż nie chcą do Lwowa przysełać swych dzieł, biorą im, nie bez pewnej słuszności, za złe to usunięcie się w chwili, w której życie artystyczne najsilniejszem bije tętnem. Nie przeczymy, artyści nasi nie mają wiele zaufania do Lwowa, uważają go za grunt nieurodzajny i poprostu obawiają się. Jeźli o tem wspominamy, to głównie dla tego, aby dodać, że powodem tego, z największą pewnością, nie są ani obawy o nieocenienie należyte i sumienne dzieł, ani też w ogóle stosunki artystyczne. Jest w tem coś innego. Oto stara, wielka prawda, że do życia prócz sławy, i chleba potrzeba. Lwów nie odznaczał się nigdy i nie odznacza bynajmniej i dziś miłośnikami sztuk pięknych, a miłośnikami, którzyby dzieła sztuki zakupywali. Garść osób przesuwa się przez salę, ten i ów wyda okrzyk zachwytu — jeśli to, przez wzgląd na ubóstwo wystawy jest możliwe — wszyscy chwalą i na tem koniec. Po kilku miesiącach artysta dostaje swą pracę napowrót i teraz dopiero musi rozpocząć starania na nowo o umieszczenie jej gdzieindziej. Płótna wielkich artystów nie zabłąkają się do nas nigdy, bo ubiegają się o nie wszystkie europejskie miasta, a z naszych ubiega wszystkie Warszawa. Warszawscy przedsiębiorcy zapłacili już z góry za wszystkie lepsze obrazy, nawet te, które dopiero po roku będą skończone, dla nas nie zostanie nic prawie, bo nawet młodsi garną się tam, gdzie mogą łatwiej swe dzieła zbyć, bo obok sławy i w tem znajdują zachętę, co więcej możliwość do pracy.

Spostrzeżenie to nie wesołe, a to tem bardziej, że wspomnianym stosunkom przypisać należy nie tylko ubóstwo pod względem ilości obrazów, lecz co gorsza, zupełny brak charakteru, wyrazu, jaki cechuje lwowskie wystawy. Z całości nie widać nic. Nie można nabrać wyobrażenia, ani o najnowszym rozwoju malarstwa, czy też rzeźby, ani skupieniu sił artystycznych w poszczególnych miastach, bo reprezentanci sztuki znajdują się tu przeważnie przypadkowo. Kraków przyszle to i owo, ale to wszystko niedaje pojęcia o kierunku, jaki się tam dzisiaj rozwija, Warszawa to już chyba przez omyłkę zabłąka się kiedy, a sam Lwów — niestety nieobecny. Niech nam darują nasi artyści, ale za obecnością ich nie przemawiają wcale dzieła, które już od kilku lat powszechnie są znane. Pocieszamy się jednem — artyści lwowscy przyrzekli nadesłać swe dzieła, do dziś dnia, z małymi wyjątkami, są to tylko przyrzeczenia, czekamy więc.

Z dzieł dotąd wystawionych wspominamy: portret trzech marszałków, dwa pędzla Tepy, jeden Matejki (wszystkie znane już z dawna) piękne, szkicowe wprawdzie, ale bogate w myśl i koloryt, płótno Kotarbińskiego (ze zbioru prywatnego); efektowną akwarelę J. Kossaka, wjazd cesarza w Krakowie, dwa płótna Wojciecha Kossaka, dwie kopje Makarta, dobra głowa p. N. Barącza i trochę drobnostek okolicznościowych z czasu pobytu cesarza. Może jest tam jeszcze coś więcej, ale o tem wszystkiem potem, gdy szczegółowo osobno będziemy o wystawie mówili.

URYWEK Z PODRÓŻY PO NORWEGJI

(Dokończenie)

IV.

Treść: Brak przepaści między bogactwem i biedą. — Jedyny magnat. — Historyczne przyczyny. — Przewaga naturalnych źródeł utrzymania. — Brak proletarjatu. — Rybołówstwo i przemysł leśny. — Rolnictwo i chłopska wytrwałość. — Przemysł fabryczny. — Koleje żelazne. — Koleje lokalne. — Budżet oparty na wydatkach zbytkowych. — Wydatki na oświatę. — Moralność publiczna. — Brak złodziei. — Przykład z życia. — Pijaństwo. — Chłopska wendetta. — Długoletność Norwegczyków.

Na powyższych kilku rysach z życia społecznego moglibyśmy zda się zakończyć nasze studjum. Nowoczesna jednak organizacja państwowa wysunęła do tyle naprzód znaczenie ekonomicznych warunków, że pominięcie ich w zarysie danego kraju, robi wrażenie pominięcia tła w obrazie. Nadto, ze stanem ekonomicznym ściśle wiąże się stan moralny i to z nieubłaganą konsekwencją przyczynowości. Racjonalny rozdział bogactw w narodzie, to niby zdrowa krew w organiźmie, wywołuje prawidłowe funkcjonowanie wszystkich jego części. To teoretyczne *motto* znalazło jednak praktyczne urzeczywistnienie w Norwegji. Kraj biedny w ogóle, ale w jego ustroju społecznym rzuca się w oczy jedna zaleta: brak w nim owych przepaści między bogactwem i biedą, widocznych znów w całej Europie. Niema tu, choćby na odpowiednią Norwegji skalę, lordów Richmond czy Westminster, ani Pereirów czy Salvadorów.

Jedyny typ magnata w całej Norwegji, to baron Rosenkranz, właściciel ogromnych dóbr w Hardanger. Zostawszy jednak wskutek prawa znoszącego tytuły, tylko p. Rosenkranzem, wyniósł się on za granicę i wyprzedaje częściowo swe posiadłości.

Przyczyny, sądzę szukać należy w tym fakcie, że system feudalny nie zdołał się rozwinąć w Norwegji, własność bowiem gruntowa, nie centralizowała się nigdy zbyt silnie w jednych rękach. Ta to okoliczność umożliwiła Norwegczykom tak łatwe skasowanie szlachectwa na drodze prawodawczej, nie mając pod sobą majątkowej podstawy, łatwo zniknęło ono z widowni. Tyle co do wpływów przeszłości. Odrębne położenie Norwegji, trudność komunikacji i przewaga *naturalnych* źródeł utrzymania, przeszkodziły rozwinięciu się tutaj wielkich fabryk, które zarówno wytwarzają wielkie bogactwa jak i licznych nędzarzy. Wpływy konstytucji dokonały reszty.

Przeciętny typ norwegskiego bogacza, to ludzie posiadający około 50.000 species (307.000 złot. pol.) Ludzi wysuwających się po za te granice, jak wykazują katastry podatkowe, jest niezmiernie mało. W dodatku *proletarjatu prawie* że *nie ma*.

Łatwość stosunków z Ameryką nęciła, co prawda, dawniej wielu do przesiedlania się, ale była to częściej chęć polepszenia niż zbudowania sobie losu. Liczba jednak wychodźców zmniejsza się nieustannie. Od 1865—1870 było rocznie około 15,000, od 1874—1877 około 4,000.

Jeżeli Norwegja nie przedstawia obszernego

pola do robienia fortuny, w zamian dostarcza wiele do skromnego utrzymania życia. Zajęcia zwykłe tameczne mają zresztą jedyną sympatyczną dla Norwegczyków cechę i pozwalają zachować niezależność, a co niemniej ważne, nie potrzebują wielkich obrotowych kapitałów. Takiemi są: rybołowstwo, zajęcia leśne i warsztaty okrętowe.

Rybaków liczy Norwegja około 175.000. Ludzie ci zajmują się samodzielnie; dopiero produkta swej pracy a nie samę pracę, sprzedają licznym handlarzom z Bergen i przybywającym w tym celu z dalszych świata zakątków.

Przemysł leśny rozwinął się ogromnie ostatniemi czasy. Lasy zajmują w Norwegji około 1.200 kw. mil geograficznych. Jak wszędzie, tak i tutaj budowa kolei wywołała nagłą gorączkę między właścicielami lasów, tak iż w r. 1875 wartość wywozu doszła do 50 mil. marek. Upamiętano się jednak wkrótce, kiedy spostrzeżono nagłą zmianę klimatu w wielu okolicach. Zwrócono także uwagę na potrzebę założenia kilku specjalnych szkół leśniczych, a kilka projektów, jak mi mówiono, przygotowano w tym celu dla przyszłego stortyngu.

Rolnictwo ma tutaj z ogromnemi trudnościami do walczenia. Dodajmy, że owa iście chłopska wytrwałość, spotęgowana wskazówkami nowoczesnej wiedzy, wychodzi z tej walki zwycięzko. Cuda bo dokonywają się na tem polu! Pod rolę zajmują nawet pochyłości kamiennych gór. Często chłop z rzadką cierpliwością oczyszcza z kamieni lat kilka z rzędu kawałek gruntu, by módz zasiać na nim niezbyt wdzięczny mu za to owies, czy też niewdzięczniejszy jeszcze jęczmień. O pszenicy ani marzyć! Tylko dwa i pół procent gruntu ornego Norwegji są zdatne pod jej uprawę. Przestrzeń jednak gruntu ornego nieustannie wzrasta. W przeciągu lat 30 zdwojono prawie jego obszary. Dotychczas wszakże 42 procent potrzebnego dla miejscowej konsumcji zboża sprowadza się z zagranicy.

Co się tyczy przemysłu fabrycznego, to jak rzekliśmy wyżej, nie mógł się on należycie rozwinąć. Za wyjątkiem kilkunastu fabryk tkackich, zatrudniających razem około 1.300 robotników, kilku drobniejszych jeszcze fabryk sukna, hut i walcowni żelaza, nie spotyka się większych zakładów.

W sferze gorzelnictwa należy zauważyć, że gorzelnie traktują tu słusznie raczej jako oddzielne fabryki, nie zaś jako pomocnicze dla gospodarstwa wiejskiego zakłady. Wychodząc z tego zasadniczego punktu, pozakładano tu mnóstwo ogromnych gorzelni, *które fabrykują na wywóz.* To samo dzieje się z browarami. Ogromne masy piwa i wódek norwegskich wychodzą nieustannie do Ameryki, a w r. 1875 cyfra wywozu przekroczyła w tej gałęzi 20.000 tonn.

Niewątpliwie, że rozwój kolei żelaznych, zwiększenie się ludności w miastach i przeciętnego bogactwa, wywołają z biegiem czasu rozwój większego przemysłu fabrycznego, ku czemu pomoże także mnóstwo jezior i wodospadów, które po części zużytkowano już korzystnie dla celów przemysłowych.

Rozwój kolei żelaznych w danym kraju przyjmuje się zwykle za termometr postępu życia ekonomicznego. W Norwegji szybki rozrost kolei, oprócz ogólnego, ma jeszcze i drugie specjalne znaczenie. W owej gotowości, z jaką storting zatwierdza nieustannie nowe plany kolei, widzimy wymowny dowód fałszywości sądów wypowiadanych zwykle o tutejszym chłopskim parlamencie. Rozumiem — zarzucaną wieśniakom ciasnotę poglądów...

Istnieje obecnie w Norwegji około 65 mil (norwegskich) kolei (mila norwegska—11·30 kilometrów), budują zaś około 90 mil, które około 1881 oddane zostaną na użytek publiczny. Do tych 155 mil dodajmy 180 projektowanych, których budowa ma być ukończoną około r. 1887 a będziemy mieli okrągłą cyfrę około 5.000 kilometrów kolei. Jak na Norwegję jest to cyfra ogromna!

Niepodobna bowiem wziąć za materjał do porównania żadnego z krajów Europy, gdyż nigdzie ludność nie jest tak rozrzuconą jak tutaj, gdy nadto budowa kolei w miejscowościach górzystych pociąga za sobą ogromne ofiary. Te bowiem okoliczności zwiększając trudności budowy z jednej, zmniejszają znów z drugiej strony zyski z budowy. Ruch na niektórych kolejach jest tak mały, że taka kandsfjordzka np. przynosi zaledwie 0,6% a średnio dochód kolei wynosi zaledwie 3,5%. Nie bacząc jednak na te ofiary, chłopi nie ustają w domaganiach się, a storting w ich zaspokojeniu co do tego przedmiotu.

— Ależ koleje zamiast złota, zwalą wam tylko na głowę ogromne ciężary...

— Masz pan racją, mówił mi na to jeden chłop w Ronsdal, ale tylko w połowie. Koleje to tak jak nasza kamienista ziemia. My wykosztujemy się najprzód, ale one nam to później z procentem płacą...

I dodajmy, że odpłacają się im one sowicie...

Majątki potroiły się prawie w ostatniem 20-leciu w cenie, wynagrodzenie pracy wzrosło, a równocześnie powiększyły się dochody państwowe.

Co ważniejsza, że zrozumieli tu potrzebę drobnych kolei miejscowych, przy nieistnieniu których paraliżuje się zwykle działalność głównych sieci. Koleje te budują się zwykle *za inicjatywą i środkami prywatnemi,* storting darowuje im zwykle pewne przywileje lub drobne gwarancje dochodów.

Co się tyczy dochodów skarbu, to należy zauważyć, że polityka państwowa oddawna tu jest zbudowaną na racjonalnej podstawie. Państwo opiera swe dochody *przeważnie na wydatkach mniej niezbędnych*. Na 26 milionów koron, stanowiących cały przychód państwowy, 17 osiąga się drogą ceł, które zamiast protekcyjnych noszą tu cechę czysto skarbowych, — $2\frac{1}{2}$ mil. z gorzelni, reszta przypada na dobra koronne, kopalnie srebra w Kongsberg (*) i inne drobne źródła.

W budżecie wydatków figurują: utrzymanie króla i pałaców królewskich 560.000 koron, Storting 340.000, ministerstwo sprawiedliwości 2 mil., oświaty... $1\frac{1}{2}$ mil.

Drobna cyfra rozchodów na oświatę, tłomaczy nam zarazem i drugą osobliwość społecznego ustroju. W obec samorządu gmin i miast i pozostawionej im obszernej sfery działalności, podatki państwowe ograniczyły się przeważnie na ściągnięciu środków dla opędzenia tylko ściśle państwowych potrzeb. Gminy zaś i miasta przy ustanowieniu podatków komunalnych, przyjęły przeważnie za osnowę podatek dochodowy. Dochody gmin przewyższają o wiele dochody ogólnopaństwowe, i jeżeli uwzględnimy to, że $^{3}/_{4}$ oddają one na oświatę, pojmiemy wtedy, że cyfra $1\frac{1}{2}$ mil. daje zaledwie słabe pojęcie o rozchodach w tej dziedzinie.

W obec powyższego czytelnik łatwo zrozumie, dla czego kwestja socjalna grasująca obecnie na zachodzie, nie dotknęła Norwegji. Acz prawodawstwo niezbyt obfituje w prawa regulujące stosunki między pracodawcami i robotnikami, jednakowoż rozsądne zrozumienie swych obowiązków przez fabrykantów, ściśle rachujących się z opinią publiczną, nie wysunęło, jak dotychczas, na widownię gwałtownych w tym względzie potrzeb reformy.

Moralność publiczna zdaje się być na bardzo wysokim stopniu. Powiadam „zdaje się,“ gdyż dziwny nieco sposób prowadzenia statystyki przestępstw, uniemożliwia gruntowne w tym względzie wyrokowanie. Pijaństwo zaliczonem jest do rzędu przestępstw jak kradzież lub oszustwo. W ogóle pijaństwo, osłabione około r. 1860 dzięki wpływom towarzystw wstrzemięźliwości, w ostatnich latach wystąpiło znów groźnie. Po części wpłynęły na to obfite połowy ryb i drożyzna drzewa w r. 1875. Rozwijające się jednak obecnie towarzystwa wstrzemięźliwości, poparte energicznemi usiłowaniami rządu, położą zda się wkrótce kres temu. W ogóle jednak przeglądając tablice statystyczne, przekonałem się, że pijaństwo nieustannie się zmniejsza.

W r. 1833 wypadało 16 litrów na osobę, 1851—6,3; 1856—5, 1865—4, ale jak wyżej zaznaczyłem, ogromny przypływ pieniędzy w roku 1875 wywołał mnóstwo nowych przedsiębiorstw, a więc i zwiększenie roboczej płacy, i w r. 1878 wypadało już przeszło 5 litrów na osobę.

Przestępstwa polegające na przyswajaniu sobie cudzej własności, drogą grabieży, oszustwa czy kradzieży, są tu niezmiernie rzadkie. Do jakiego stopnia posuniętą jest uczciwość publiczna, świadczy fakt następujący.

Tramwaje w Chrystjanii są urządzone w sposób taki, że do skrzynek przymocowanych do wnętrza wagonu każdy pasażer wrzuca sam przypadającą od niego należność, konduktorów czy też jakichkolwiek kontrolerów, zupełnie tu nie znają. Woźnica zaś zwrócony twarzą do koni, nie widzi publiczności, a tem bardziej nie jest wstanie skontrolować czynności pasażerów. I jak mi mówiono, nie ma wypadków, by ktokolwiek nie uiścił przypadającej od niego należytości. Wypadało mi często odbywać wycieczki tramwajami i udało mi się skonstatować ten sam fakt. A przecież jeżdżą tam często i biedni wyrobnicy!

Zabójstwa trafiają się, acz niezmiernie rzadko i to w kilku górskich miejscowościach około Kardanderu. Istnieje bowiem tam na wzór korsykańskiej — chłopska wendetta. Dziś jednak są to tylko dogorywające resztki przeszłości!

. . . .

. . . .

Koniec wieńczy dzieło! Cóż możemy przedstawić za koronę dla przedstawionego dopiero co

*) Kopalnia ta zmniejsza zresztą nieustannie swą wydajność. Obecnie pracuje w niej zaledwie około 358 robotników. Jak mówił pokazujący mi kopalnię udzędnik, wyrabia się obecnie projekt oddania jej w ręce prywatne. W ogóle osławione bogactwo kopalne Norwegji, ogranicza się obecnie zaledwie na kilkuset tysiącach centnarów miedzi a pół mil. cent. rudy, oto wszystko. Przypisują to tutaj zresztą brakowi uzdolnionych geologów, czemu usiłują obecnie zaradzić.

przez nas ustroju społeczno-państwowych stosunków? Szczęśliwość jest jednym z celów życia! Czy Norwegczycy są względnie szczęśliwszymi od innych narodów?

Niestety! nie ma probierza dla ocenienia z tego punktu narodowych stosunków. Jeżeli jednak *długoletniość* może służyć choć za drobną w tym względzie skazówkę, Norwegja godną byłaby zazdrości!

Według ostatnich dat statystycznych, przeciętna długość życia w Norwegji wynosi 47,4 lat, wtedy gdy choćby w Szwecji tylko 42, a we Francji 39 lat.

Niewątpliwie w obec tego, wpływy klimatyczne nie wykluczają bynajmniej społeczno-państwowych.

Jan Finkelhaus.

O żydach.

Czasopisma niemieckie od pewnego czasu zwracają uwagę na stosunki nasze domowe w sprawie żydowskiej.

Zachowanie się ogółu naszego wobec tej znacznej warstwy ludności przejmowało sąsiadów naszych widoczną niechęcią.

To też wylali z tego powodu wiele żółci na papier, a nawet tu i owdzie dało się spostrzedz zdanie, że „na żydach doznali zawodu, ponieważ okazało się że idąc za większością, złym są przewodnikiem germanizmu“.

Dziennikarstwo angielskie, wyborny argus wypadków bieżących, nie pozostało nieczułem na te obawy.

Times wystąpił z dwoma artykułami, jeden pióra Simona, drugi Green'a, w których naszkicował swoje w tym przedmiocie pojecia.

Zkąd pochodzą i piszą autorowie dwóch pomienionych głosów, nie wiadomo, to tylko pewna, iż miejscowe stosunki nie są im obce.

W artykułach rzeczonych uchwycono charakterystykę stosunku dwóch ludności w całem państwie, z odznaczeniem wszelako żydów polskich.

Saturday Rewiew sparafrazował po części te prace, dając od siebie niektóre uwagi; z całego tego materjału wyjmujemy wytyczne myśli.

Artykuł Simona jest pesymistyczny: wykazuje, że mieszkańcy mojżeszowego wyznania żyją w ciemnocie, oddzieleni od światlejszej klasy chińskim murem, tak iż oświata przeniknąć do do nich nie może.

Wykształceni żydzi polonizują się szybko, lecz to ich usuwa od współwyznawców; mała garstka, pojmująca potrzebę solidarności, traci wpływ i poczucie religijne, skutkiem czego powoli dla braci własnej staje się obcą.

Green inaczej patrzy na tę samą kwestję.

W szkołach żydowskich uczą języków, nawet francuskiego, tak, iż każdy wychowaniec, opuszczający je, posiada ogólne wykształcenie(?).

Nie rektyfikując tego zdania, w całości błędnego, idziemy dalej.

Żyd, w porównaniu z chłopem, jest prawdziwym arystokratą: umie czytać i pisać, może się rozmówić po polsku i po niemiecku, zna rachunkowość.

Taka jest postać przeciętna polskiego żyda. Jego usposobienie nadaje się do działalności: szanuje rodzinę i tylko w niej żyje, nigdy się nie upija, pracowitość jego i przedsiębiorczość są wielkie.

Green nadmienia, że ilość cnót zwykle jest w odwrotnym stosunku do wywoływanych sympatyj.

Człowiek oszczędny, pracowity, z powodzeniem zbierający na przyszłość zasoby, zazwyczaj obudza niechęć w społeczeństwie, złożonem z czynników destrukcyjnych.

Simon antypatje do żydów kładzie na karb ich win własnych, Green szuka ich źródła w powodzeniu i ztąd przychodzi do wniosku, że ludność polska, zostawiając plemię semickie w spokoju, daje dowód umiarkowania i uczciwości.

Dlaczego przykładu tego nie naśladują Niemcy?

Saturday Review, dopełniając własnemi uwagami te artykuły, wyraża się, że na żydów tylko ich właśni współwyznawcy wpływać mogą i powoli odciągać od seperatyzmu.

Lód ów ma liczne wrodzone zdolności, które, skierowane umiejętnie, mogą się stać nader użytecznemi: czynników tych lękają się Niemcy i z niezadowoleniem patrzą na bratanie się ludności na jednej przebywającej ziemi.

W Polsce żydzi dawali nieraz dowody, iż są dobrymi obywatelami, dlaczegoż nie umieliby nimi być i w innych częściach państwa?

Ich wpływ użyteczny odbił się w ostatniej epoce w podniesieniu się miast i dobrobycie klas pracujących.

Niemieckie czasopisma, o ile nam wiadomo, przyjęły milczeniem te artykuły, może dla tego, iż dopatrzyły w nich prawd nieprzyjemnych...

Sprawozdawca *Saturday Review* nadmienia iż największy występek żydów polega na tem, iż nie lubią rozrzucać pieniędzy i tem formują przeciw sobie legjony nieprzychylnych..

A jednak nie można odmówić żydom zasługi w powoływaniu do życia czynników śpiących i gromadzeniu zasobów na cele bogactwa i pomyślności ogólnej.

Green rehabilituje ich z zarzutu, iż lubią łatwy zarobek, bo to słabość każdego człowieka, broni także od zarzutu, iż trudnią się zbytem spirytualii, skoro sam przemysł nie jest w ich ręku.

Z chwilą, gdy rozszerzono zakres pracy żydów, porzucili oni dawne zajęcia i, w miarę uzdolnienia się, przechodzą do innych; dziś w ces. Rosyjskiem, oraz w granicach dawnej Polski można ich spotkać na wszystkich arenach życia publicznego.

Przytaczając te zdania publicystów angielskich możemy tylko z naszej strony dodać *pium desiderium* „oby tak było w istocie.“

Nie wchodząc jednak w ścisłość rozumowań powyższych artykułów, dość będzie naznażyć, iż opinja publiczna zajmuje się kwestją żydowską i, że na tle katastrof na południu Rosji, odznacza zachowanie się kraju naszego w tej sprawie.

Wreszcie należy nadmienić, że pisma katolickie (angielskie i niemieckie) wzmiankowały chlubnie o zacnej dążności duchowieństwa, które wpływem swoim powstrzymywało namiętności w tym kraju, nie dopuszczając, aby ludzie złej woli, plany swoje mogli rozwinąć.

* * *

Prasa francuska wskutek anti-żydowskiej agitecji w Niemczech i rozruchów w Cesarstwie również zajmuje się obecnie kwestją żydowską, chociaż kwestja ta nie dotyczy bezpośrednio Francji.

Podług dziennika *Monde,* stosunek żydów do reszty ludności we wszystkich krajach Europy jest następujący:

w Kr. Polsk.	znajduje się	1	żyd na	7	mieszkań.
„ Austrji	„	„	„	32	„
„ Rosji	„	„	„	42	„
„ Holandji	„	„	„	52	„
„ Turcji	„	„	„	64	„
„ Niemczech	„	„	„	105	„
„ Belgji	„	„	„	333	„
„ Włoszech	„	„	„	412	„
„ Francji	„	„	„	433	„
„ Anglji	„	„	„	466	„
„ Norwegji	„	„	„	466	„
„ Danji	„	„	„	466	„
„ Szwajcarji	„	„	„	595	„

We Francji na 36,000.000 chrześcian ma być tylko 50.000 żydów, z których wielu wybitne zajmuje stanowiska.

Na 86 prefektów jest 6 żydów — dwie rady departamentalne obrały świeżo żydów przewodniczącymi.

Przy ostatnich nominacjach 21 żydów odznaczono legją honorową.

W przeciągu jednego roku mianowano we Francji z kolei jednego jenerała dywizji, jednego jenerała brygady i jednego pułkownika piechoty z pośród izraelitów.

Liczba uczniów izraelitów w zakładach wojskowych (np. Saint-Cyr), w szkole normalnej i politycznej rośnie z dniem każdym i „ani sni się komu we Francji o podniesieniu kwestji żydowskiej, z tego jedynie powodu, że żydzi we Francji w pierwszej linji, są francuskimi obywatelami, później dopiero wyznawcami religji mojżeszowej.“

Historja biletów kolejowych.

W zakresie olbrzymiego ruchu kolejowego stanowią oczywiście bilety drobniuchną tylko cząstkę — podlegały jednakże i one rozwojowi historycznemu, którego siedzibą była z początku rzeczy ojczyzna pary i elektryczności, Wielka Brytanja.

W pierwszych chwilach po nastaniu komunikacji parą, żywa dusza w Anglji nie marzyła o biletach kolejowych...

Pasażerowie płacili po prostu za swoje miejsca urzędnikowi, poczem udawali się na peron, czekali na nadejście pociągu, który ich doprowadzał na miejsce przeznaczenia i opuszczali swoje miejsca, nie składając dozorcom ani przed ani po jeździe żadnego zgoła dowodu, że przypadającą należytość faktycznie uiścili...

Nie było zatem żadnej a żadnej kontroli tak na podróżnych, jak i na kasjera przyjmującego pieniądze — okoliczność to rzucająca charakterystyczne światło, jak słabym był ruch kolejowy w początkach!

Gdy jednak liczba podróżujących wzrastać zaczęła, dawały się zarządowi coraz dotkliwiej uczuwać niedogodności wynikające z podobnego systemu.

Skutkiem tego, pewien niższy urzędnik na małej stacji obok Londynu wpadł na pomysł za-

prowadzenia biletów — i sporządzał takowe w sposób bardzo prymitywny.

Związywał on razem kilka czcionek z odznakami kolejowemi, wkładał je do skrzyneczki tej wielkości co szczoteczka do paznogci, potem powlekał je atramentem i w ten sposób odbijał na papier — nazwę stacji, do której się podróżny udawał, dopisywano przed odejściem pociągu.

System ten pomimo całej swej niedołężności znalazł jednakże uznanie, i okazała się potrzeba wprowadzenia go na szersze rozmiary.

Twórca jego spostrzegł to, i z wrodzonym każdemu Anglikowi zmysłem kupieckim przekształcił pomysł swój na przedmiot nieznanej dotychczas industrji — założył fabrykę biletów na wielką skalę podług pewnych reguł.

W tem leży przyczyna, dlaczego taż sama firma zaopatruje biletami po dziś dzień nietylko wszystkie prawie drogi żelazne w Anglji, ale i w kilku innych krajach.

Fabryka ta spoczywa w rękach synów owego urzędnika, który ją przed pięćdziesięciu blisko laty założył.

Zwiedzającemu ten zakład zdawać się może, że odbywa podróż po całym świecie, przenosząc się z jednego kraju do drugiego.

Tu widzi przed sobą tworzące się bilety dla angielskich dróg żelaznych, tam dla szwedzkich. dalej dla południowo-amerykańskich, tu znowu dla egipskich, wschodnio-indyjskich, chińskich, japońskich i innych...

Szczególniejszą uwagę zwracają na siebie bilety „dla pielgrzymów do Mekki“, odsyłane do Kairu i tamże wydawane; wreszcie bilety mające wejść w użycie na jednej z linij południowo-amerykańskich, na których pod napisem „4 klasa“, umieszczone są słowa: „Tylko dla niewolników bez pończoch i trzewików...“

Pierwsze istotne udoskonalenie w celu prawidłowego używania biletów kolejowych dokonanem zostało w chwili, kiedy zaprowadzono numerowanie tychże; wówczas dopiero okazała się możliwość składania w porządku rachunków z kasy biletowej, jakoteż należytego uregulowania ruchu pasażerskiego.

Obecnie wszelkie urządzenia na kolejach żelaznych są podług oznaczonych zasad uregulowane, to też przebieg interesów pomienionej fabryki z linjami dróg żelaznych, którym ma dostarczyć swoich biletów, jest także ściśle oznaczony.

Obie strony prowadzą rejestra, wykazujące, które numera i do której klasy dostarczone zostały, tak, że w razie nagłego zapotrzebowania fabryka jest w stanie wszelkiemu żądaniu bez kłopotu zadosyć uczynić.

Chcąc w części powziąć wyobrażenie o rozmiarach i skomplikowaniu tego przemysłu, dość pomyśleć, że takie rejestra prowadzone być muszą osobno do każdej stacji znaczniejszych linij kolejowych, a to dla tego, ażeby się przypadkiem nie powkradały omyłki przy numerowaniu.

Z tego powodu odbywa się sprawdzanie omyłek z nader żmudną skrupulatnością i bardzo zwykły przyrząd służy do skontrolowania i zapewnienia się o dokładnem następstwie porządkowem numerów.

Przyrząd ten zaczyna funkcjonować po ukończeniu druku biletów, i ma przeznaczenie nie dopuścić, żeby jeden i ten sam numer dwa razy był wydrukowany, lub też którykolwiek całkowicie miał być wypuszczony.

Przyrząd sam składa się ze stolika mającego $^3/_4$ metra szerokości i tyleż długości; stolik ten mieści w sobie dwa rezerwoary, a na środku posiada otwór, o tyle obszerny, aby przezeń można podpatrzeć numer na bilecie; przy stoliku umieszczone jest walcowate koło, opatrzone liczbami.

Liczba na kole zgadza się z liczbą pierwszego biletu, od którego się liczenie zaczyna...

Bilety następują po sobie pojedyńczo, według numerów porządkowych; skoro pomocnik obróci korbą, spuszcza się bilet za pomocą przyrządu mechanicznego z górnego rezerwoaru do niższego, umieszczonego pod stołem, a podczas przesuwania się jego przez otwór w stole wyżej wspomniany, daje się spostrzegać jego liczba.

Koło walcowate robi obrót równocześnie z ukazywaniem się biletu, i wówczas obydwa numera muszą się zgadzać ze sobą.

W razie przeciwnym brakuje numeru, albo też jest dwa razy wydrukowany.

Po usunięciu omyłki, wciskają za pomocą prasy bilety do paczek, okręcają sznurem, opakowują i rozsyłają.

Fabryka ta spoczywa, jak już powiedziano, dzisiaj jeszcze w rękach rodziny, której głowa ją niegdyś założyła i rozszerzyła...

Członkowie tej rodziny rozproszyli się w interesie przedsiębiorstwa po całym świecie, i... szczególna rzecz, iż po większej części bilety angielskich, południowo-amerykańskich, azjatyckich i egipskich dróg żelaznych datują swoje pochodzenie ze skromnego, niepokaźnego przedmiejskiego budynku angielskiego miasteczka!

E. K.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Na ostatniem XXX posiedzeniu „Koła literackiego,“ które odbyło się w dniu 8. lipca r. b. profesor dr. Juljan Ochorowicz mówił o t. z. magnetyźmie zwierzęcym, a następnie wykonał szereg doświadczeń, które w najwyższym stopniu zainteresowały obecnych. W zebraniu, oprócz zgromadzonych w komplecie członków „Koła“, uczestniczyło kilku najznakomitszych naszych lekarzy.

*** Pomiędzy kandydatami na wakujące katedry w Petersburgskiej Akademji Umiejętności, figuruje także nasz naturalista, były profesor b. szkoły głównej warszawskiej, Dybowski, na katedrę zoologji.

Jak wiadomo, prof. Dybowski przez długi czas bawił na Syberji, jako zesłany i zbogacił nauki przyrodnicze wielu nowemi danemi. Przed trzema laty dr. Dybowski był w Krakowie i starał się tam o jakiekolwiek miejsce choćby na 600 złr. rocznie. Jednak nie nie otrzymał z tej przyczyny, że jest obcokrajowy (!!). Musiał więc przyjąć miejsce w Kamczatce i powtórnie na Syberję wyjechał.

*** „Tygodnik Illustrowany“ w Nr. 288 z rb. podaje wizerunek i obszerny życiorys p. Felicji z Wasilewskich Boberskiej a podnosząc wysoko jej charakter, cnoty i zasługi na polu pedagogiczno-wychowawczem, kończy następującemi słowy: „Jeżeli kiedyś będziemy posiadali księgę złotą, w której spisane zostaną życiorysy zasłużonych Polek, to imię Felicji z Wasilewskich Boberskiej powinno znaleźć miejsce na pierwszej stronnicy tej księgi.“

*** W dalszym ciągu taniego wydawnictwa „Bibbljoteki Mrówki“ wyszły z druku tomiki 118 —120 i 120—121. Pierwsze z nich zawierają Niemcewicza „Lejbe i Sióra“ romans żydowski, malujący w dokładnem świetle owoczesny stosunek żydów do naszego społeczeństwa, stosunek, który do dziś dnia prawie się nie zmienił, drugie zaś: wiecznie świeży, wiecznie zachwycający dziwną prostotą „Dziennik Podróży po Syberji“ generała Józefa Kopcia.

*** W tych dniach nadeszła do Lwowa najnowsza praca dr. Piotra Chmielowskiego: „Zarys literatury polskiej z ostatnich lat szesnastu.“ Zajmująca ta rozprawa wywołała już wrzawę w prasie warszawskiej. Bliższą jej ocenę podamy później.

*** Ruchliwa firma księgarska p. E. Orzeszkowej i sp. w Wilnie, wydała świeżo Michała Bałuckiego „Typy i obrazki krakowskie“. Są to pomniejsze obrazki i nowelle tego autora, zebrane w jedną książkę.

*** „Przegląd akademicki“, organ młodzieży polskiej, wydawany za staraniem Czytelni akademickiej w Krakowie a pod kierunkiem dra Izydora Kopernickiego, Zeszyt III. opuścił prasę drukarską.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Czytamy w *Gazecie kieleckiej:*

„W Lubelskiem, w dobrach swoich Podzamczu, Stanisław hr. Zamojski urządza dla ludu wiejskiego i dworskiej czeladzi niedzielne odczyty; i na wspólnem czytaniu, opowiadaniu, gawędzie i zabawie ubiega całe niedzielne popołudnie.

W pomoc obojgu hrabiostwu Zamojskim przychodzą dorośli ich synowie i dorastające córki.

Lud ochoczo garnie się do nauki, chwytając w duszę te świetlane promyki.

Schodzą się tam starsi i młodsi, zainteresowani czytaniem ogromnie, a gdy ono się skończy, wówczas na dziedzińcu zamkowym bawią się w piłkę i inne gry podobne.

Przybycie jakichkolwiek gości nie jest tam przeszkodą.

Gospodarz prowadzi przybyłych na dziedziniec, do tych coniedzielnych, najmilszych sercu jego gości, a raczej dzieci swoich, i nieraz tam z nimi grywa w palanta.

Trudno byłoby uwierzyć, jak wiele to wpływa na uobyczajenie ludu, jak szybko znikają chmury ciemnoty, jak moralne pojęcia bujnie na tej długo nieuprawianej roli wzrastają, jaki tam dobrobyt panuje w chatach, a miłość, wdzięczność i cześć we wszystkich sercach!

Gdy ktokolwiek z tej zacnej rodziny przyjeżdża, witają go jako najdroższego i najmilszego; starzy błogosławiące dłonie ku niemu podnoszą, a dziatwa uśmiechnięta, wesoła, szczęśliwa wybiega naprzeciw temu, którego kocha...

Co za szkoda, że tak mało dziedzice Podzamcza mają naśladowców!“

*** Dowiadujemy się, że p. Adam Kaczurba, wydawca Bilbljoteki Uniwersalnej, zamierza otworzyć w Tarnowie księgarnię. Pomysł to bardzo szczęśliwy, ponieważ Tarnów, najludniejsze po Krakowie miasto w Galicji, nie posiada żadnej porządnej księgarni.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.